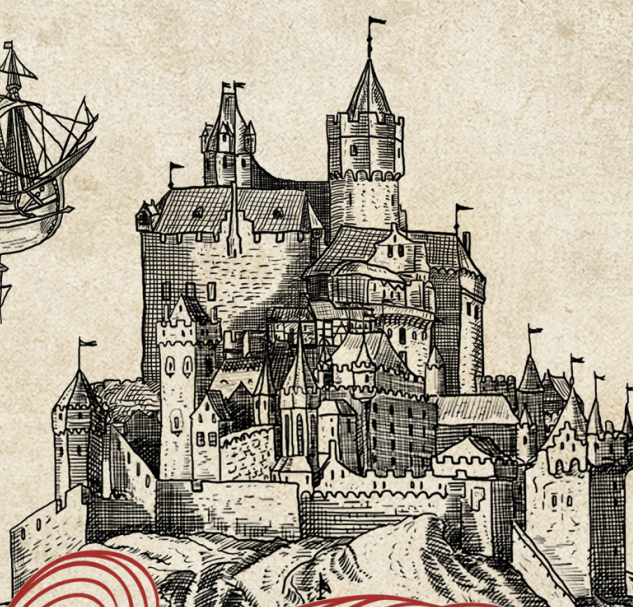


Ursula K. LeGuin

Sześć światów Hain



Ursula LeGuin "Sześć światów Hain".

Fragment

Ebola

Prolog

Naszyjnik Semley

Jak odróżnić legendę od prawdy na światach niewyobrażalnie dalekich? Na bezimiennych planetach, zwanych przez swoich mieszkańców po prostu światami, planetach bez historii, gdzie przeszłość to sprawa mitu, gdzie powracający badacz stwierdza, że jego czyny sprzed kilku lat stały się gestem boga. Irracjonalizm wypełnia przepaść czasu, której dwa brzegi łączą nasze światłowce, a w jego mroku plenią się jak zielsko niepewność i niewspółmierność.

Ktoś, kto chce opowiedzieć historię człowieka, zwykłego uczonego Ligi, który udał się przed niewielu laty na jeden z takich bezimiennych, na wpół poznanych światów, czuje się jak archeolog wśród tysiącletnich ruin, przeciskający się przez gąszcz liści, kwiatów, gałęzi i pnączy, by nagle natknąć się na przejrzystą geometrię koła lub polerowanego narożnika; a potem wchodzi w jakieś zwyczajne, oświetlone słońcem drzwi, by w ciemnym wnętrzu ujrzyć nieoczekiwaną isierkę ognia, błysk klejnotu, ledwie widoczny ruch kobiecej ręki.

Jak odróżnić fakt od legendy, prawdę od prawdy?

W opowieści Rocannona powracają błękitne błyski klejnotu. Zacznijmy ją od tego:

8. Strefa Galaktyczna, numer 62: Fomalhaut II.

Istoty rozumne (gatunki poznane):

Gatunek I

A. Gdemiar (l. poj. Gdem): Wysoce inteligentni, w pełni człekokształtni jaskiniowcy. Wzrost 120-135 cm, skóra jasna, włosy ciemne. W momencie kontaktu ci troglodyci posiadali wyraźnie rozwarstwione oligarchiczne społeczeństwo typu miejskiego, zmodyfikowane zjawiskiem kolonii telepatycznych, oraz technologicznie nastawioną kulturę okresu wczesnej stali.

Skok technologiczny od kultury przemysłowej, poziom C na skutek wypraw Ligi w latach 252-254. W r. 254 oligarchowie okręgu Kirien otrzymali automatyczny statek zapewniający połączenie z Nową Południową Georgią. Status C.

B. Fiia (l. poj. Fian): Wysoce inteligentni, w pełni człekokształtni, tryb życia dzienny, śr. wys. ok. 130 cm. Wśród obserwowanych osobników przeważał typ jasnoskóry i jasnowłosy. Sporadyczne kontakty sugerowały społeczeństwo typu osiadłej i koczowniczej wspólnoty, częściowo telepatię kolonialną z pewnymi oznakami krótkodystansowej telekinezy. Rasa sprawia wrażenie antytechnologicznej, o minimalnych, płynnych wzorcach kulturowych. Kontakt bardzo utrudniony. Nieopodatkowani. Status E?

Gatunek II

Liuar (l. poj. Liu): Wysoce inteligentni, człekokształtni, tryb życia nocny, śr. wys. ok. 170 cm. Mieszkają w grodach obronnych, społeczeństwo typu klanowego, technologia zablokowana na epocę brązu, kultura rycerska. Horyzontalny podział społeczeństwa na dwie pseudorasy: a) Olgior – ludzie średni – jasnoskórzy i ciemnowłosi; b) Angyar, panowie – bardzo wysocy, ciemnoskórzy i jasnowłosi...

- To ona - powiedział Rocannon, spoglądając znad Kieszonkowego przewodnika po istotach rozumnych na bardzo wysoką, ciemnoskórą i jasnowłosą kobietę. Stała w głębi długiego korytarza muzeum nieruchomości, wyprostowana, w koronie złotych włosów, wpatrzona w gablotę. Wokół niej kręciło się czterech niespokojnych brzydkich karłów.

- Nie wiedziałem, że Fomalhaut II ma oprócz troglodytów tyle tych ludów - powiedział Ketho, kurator.

- Ja też. Tu są nawet wymienione „niepotwierdzone” gatunki, z którymi nie doszło do kontaktu. Czas chyba na jakąś gruntowniejszą ekspedycję do nich. Dobrze, że przynajmniej wiemy, kim ona jest.

- Dużo bym dał, by się dowiedzieć, kim ona jest naprawdę...

Pochodziła ze starego rodu pierwszych królów angyarskich i mimo ubóstwa miała włosy błyszczące czystym, szczerym złotem jej dziedzictwa. Mali ludzie, Fiia, kłaniali się na jej widok, nawet gdy jeszcze jako dziecko biegała boso po polach z jasną, płomienną kometą włosów rozjaśniającą mroczną atmosferę Kirien.

Była wciąż jeszcze bardzo młoda, kiedy Durhal z Hallan ujrzał ją i poprosił o jej rękę. Zabrał dziewczynę ze zrujnowanych wieżyc i pełnych przeciągów komnat dzieciństwa do swego wysokiego domu. W Hallan na zboczu góry też nie było wygod, choć zachowało się bogactwo. Okna nie miały szyb, kamienne podłogi były nagie; w zimnej porze roku można się było rano obudzić i ujrzeć długie języki nawianego w nocy śniegu pod każdym oknem. Młoda żona Durhala stawiała wąskimi bosymi stopami na zaśnieżonej podłodze, zaplatając poząr swoich włosów i śmiejąc się do młodego małżonka w srebrnym lustrze zdobiącym ścianę jej pokoju. To lustro i ślubna suknia jego matki wyszyta tysiącem drobniutkich kryształków stanowiły cały majątek Durhala. Niektórzy z pomniejszych krewniaków nadal posiadali całe skrzynie brokatowych szat, pozłacane meble, srebrne rzędy dla swoich wierzchowców, srebrem zdobione zbroje i miecze, drogie kamienie i biżuterię, na którą młoda małżonka Durhala zerkała z zazdrością, oglądając się za wysadzonym kamieniami diademem lub złotą broszą, nawet gdy jej właścicielka przystawała, by przepuścić Semley z szacunku dla jej urodzenia i pozycji męża.

Durhal i jego żona Semley zasiadali podczas wielkiej uczty na czwartym miejscu, tak blisko pana na Hallan, że starzec często własnoręcznie nalewał Semley wino oraz rozmawiał o łowach ze swoim bratankiem i następcą Durhalem, spoglądając na młodą parę z ponurą, pozbawioną nadziei miłością. Nadzieja była wielką rzadkością wśród Angyarów z Hallan i całej Krainy Zachodniej od czasu, kiedy pojawili się Władcy Gwiazd ze swymi domami skaczącymi na kolumnach ognia i straszliwą bronią mogącą rozbijać góry. Naruszyli oni stare obyczaje czasów pokoju i czasów wojny i choć sumy były niewielkie, honor Angyarów cierpiał wielce, że musieli płacić podatki, daninę na wojnę, jaką Władcy Gwiazd mieli stoczyć z jakimś dziwnym wrogiem, gdzieś w pustych przestrzeniach między gwiazdami, kiedyś na końcu czasu. „To będzie także wasza wojna”, mówili, ale już całe pokolenie Angyarów siedziało w daremnym wstydzie w swoich wielkich komnatach, patrząc, jak rdzewieją ich długie miecze, jak ich synowie dorastają, nie zadawszy ciosu w bitwie, a córki wychodzą za biedaków lub nawet ludzi średnich, nie mając w posagu bogatego łupu godnego męża szlachetnego rodu. Pan na Hallan z zasępioną twarzą spoglądał na jasnowłosą parę, słuchając ich śmiechu, kiedy pili cierpkie wino i weselili się w zimnej, zrujnowanej, okazałej fortecy swojej rasy.

Czasami Semley ze stwardniałą twarzą rozglądała się po sali i widziała na miejscach znacznie poniżej swego, nawet daleko wśród mieszkańców i ludzi średnich, na tle białej skóry i czarnych włosów lśnienia i blaski drogocennych kamieni. Ona nic nie wniosła mężowi w posagu, ani jednej srebrnej szpilki. Suknię z tysiącem kryształków schowała do skrzyni na ślub córki, jeżeli będą mieć córkę.

Urodziła córkę i nazwali ją Haldre, a kiedy jej mała brązowa główka porosła nieco już dłuższym włosiem, zabłysło na niej szczere złoto; dziedzictwo wielkopańskich przodków, jedyne złoto, jakie kiedykolwiek będzie jej własnością...

Semley nie wspominała mężowi o tym, co jej doskwiera. Przy całej dobroci, jaką miał dla niej, Durhał w swojej dumie żywił pogardę dla zawiści i dla próżnych zachcianek, a Semley bała się jego pogardy. Zdradziła się jednak przed siostrą Durhala, Durossą.

- Moja rodzina miała kiedyś wielki skarb - powiedziała. - Był to szczerozłoty naszyjnik z błękitnym kamieniem, to się chyba nazywa szafir.

Durossa potrząsnęła głową i uśmiechnęła się, również niepewna nazwy. Była późna ciepła pora, jak północni Angyarowie nazywają lato swego osiemsetdniewego roku, licząc cykl miesięcy na nowo od każdego zrównania, co Semley uważała za dziwaczny kalendarz, dobry chyba tylko dla średnich ludzi. Jej ród dożywał końca, ale był starszy i miał czystsza krew niż rody z północno-zachodnich kresów, które zbyt często mieszały się z Olgiorami. Siedziała z Durossą w słońcu na kamiennej ławie podokiennej, wysoko w Wielkiej Wieży, gdzie mieszkała starsza kobieta. Młodo owdowiała i bezdzietna, Durossa została po raz drugi zaślubiona panu na Hallan, swemu stryjowi. Ponieważ było to drugie małżeństwo dla nich obojga i byli spokrewnieni, Durossa nie miała tytułu pani na Hallan, który pewnego dnia otrzyma Semley, ale zasiadała obok starego pana na wysokim krześle i rządziła wraz z nim jego włościami. Starsza od swego brata Durhala, lubiła jego młodą żonę i uwielbiała ich jasnowłosą córeczkę Haldre.

- Kupiono go - opowiadała Semley - za cały okup, który mój przodek Leynen dostał po zwycięstwie nad Księstwami Południa. Pomyśl tylko, wszystkie pieniądze z całego królestwa za jeden klejnot! Na pewno przyćmiłby wszystkie klejnoty Hallan, nawet te kryształy duże jak jaja kooba, które nosi twoja kuzynka Issar. Był tak piękny, że dostał własne imię, Oko Morza. Nosila go moja prababka.

- A ty nigdy go nie widziałaś? - spytała starsza kobieta leniwie, spoglądając w dół na zielone zbocza, gdzie długie lato wysyłało swoje gorące, wiecznie niespokojne wiatry na lasy i białe drogi ciągnące się hen, aż na morski brzeg.

- Zaginął przed moim urodzeniem.

- Zabrali go Władcy Gwiazd?

- Nie, mój ojciec powiedział, że klejnot został ukradziony przed przybyciem Władców Gwiazd na nasze ziemie. Nie chciał mówić na ten temat, ale pewna stara kobieta ze średnich ludzi znająca mnóstwo opowieści powtarzała mi nieraz, że Fiia wiedzą, gdzie jest klejnot.

- Ach, chciałabym zobaczyć tych Fiia! - westchnęła Durossa. - Tyle się o nich słyszy w pieśniach i opowieściach, dlaczego nigdy nie zaglądamy w nasze strony?

- Zbyt wysoko i zbyt chłodno zimą, jak sędzę. Oni lubią słoneczne doliny południa.

- Czy są podobni do Gliniaków?

- Gliniaków nigdy nie widziałam; trzymają się od nas z daleka tam, na południu. Podobno są

nieforemni i biali jak ludzie średni. Fiia są piękni, wyglądają jak dzieci, tylko szczuplejsze i mądrzejsze. Tak, ciekawe, czy wiedzą, gdzie jest naszyjnik, kto go ukradł i gdzie schował! Pomyśl, Durossa, gdybym tak mogła wejść do Wielkiej Sali Hallan i usiąść obok męża z ceną królestwa na szyi, przyćmiłabym inne kobiety tak, jak on przyćmiewa wszystkich mężczyzn!

Durossa pochyliła głowę nad dzieckiem, które z zainteresowaniem oglądało swoje brązowe stópki, siedząc na skórze między matką a ciotką.

- Semley jest niemądra - szepnęła do dziecka. - Semley, która błyszczy jak spadająca gwiazda, Semley, której mąż nie kocha innego złota poza złotem jej włosów.

A Semley, zapatrzona ponad zielonymi wzgórzami w stronę dalekiego morza, milczała.

Minęła zimna pora i Władcy Gwiazd znowu przybyli po daninę na wojnę z końcem świata - tym razem używając jako tłumaczy pary karłowatych Gliniaków i obrażając w ten sposób wszystkich Angyarów do granic rebelii. Potem minęła następna pora ciepła, Haldre wyrosła na uroczą, rozgadaną dziewczuszkę i Semley przyniosła ją któregoś ranka do słonecznego pokoju Durossy w wieży. Semley miała na sobie stary błękitny płaszcz, włosy przykryła kapturem.

- Zaopiekuj się Haldre przez kilka dni - powiedziała szybko i spokojnie. - Jadę na południe do Kirien.

- Chcesz odwiedzić ojca?

- Chcę odnaleźć swoje dziedzictwo. Twoi kuzyni z Hagret pokpiwali z Durhala. Nawet ten mieszaniec Parna może mu dokuczać, bo jego żona, ta kluchowata, czarnowłosa flądra, ma aksamitną kapę na łóżę, diamentowy kolczyk i trzy szaty, a żona Durhala musi chodzić w łataniej sukni...

- Durhal jest dumny ze swojej żony, nie z jej sukien.

Ale Semley była niewzruszona.

- Panowie na Hallan stają się biedakami we własnym zamku. Przywiozę swojemu panu posag godny moich przodków.

- Czy Durhal wie, że wyjeżdżasz?

- Mój powrót będzie szczęśliwy, to możesz mu powiedzieć - odparła Semley, wybuchając beztróskim śmiechem. Schyliła się, żeby pocałować córkę, odwróciła się i zanim Durossa zdążyła się odezwać, znikła, jakby podmuch wiatru przemknął po zalanej słońcem kamiennej podłodze.

Zamężne kobiety angyarskie nie jeżdżą wierzchem dla zabawy i Semley nie opuszczała Hallan od czasu zamążpójścia, toteż teraz, sadowiać się w wysokim siodle swojego wiatrogona, poczuła się znowu jak panna, jak szalona dziewczyna, która na skrzydłach północnego wiatru ujeżdżała półdzikie wierzchowce nad polami Kirien. Zwierzę unoszące ją teraz ze wzgórz Hallan było szlachetnej krwi: pasiasta skóra ciasno obciągała puste, lekkie kości, zielone oczy mrużyły się od wiatru, lekkie, ale potężne skrzydła biły powietrze po obu stronach Semley, na przemian odsłaniając i przesłaniając chmury nad jej głową i wzgórza pod jej stopami.

Na trzeci dzień rano przybyła do Kirien i stanęła na zrujnowanym dziedzińcu. Jej ojciec pił całą noc i tak jak dawniej drażniło go poranne słońce wpadające przez dziurawy dach, a widok córki rozdrażnił go jeszcze bardziej.

- Po co wróciłaś? - warknął, nie patrząc na nią zapuchniętymi oczami. Osiwiał, płomień jego włosów

przyszedł. – Czy młody Halla nie ożenił się z tobą i wracasz chyłkiem do domu?

– Jestem żoną Durhala. Przyjechałam, żeby odzyskać mój posag, ojcze.

Stary pijak warknął z irytacją, ale Semley roześmiała się tak łagodnie, że krzywiąc się, musiał znowu na nią spojrzeć.

– Czy to prawda, ojcze, że Fiia ukradli naszyjnik Oko Morza?

– Skąd mogę wiedzieć? Stare bajdy. To zginęło chyba przed moim urodzeniem. Lepiej bym się wcale nie rodził. Spytaj Fiia, jak chcesz wiedzieć. Idź do nich albo wracaj do męża, ale zostaw mnie w spokoju. Kirien nie jest najlepszym miejscem dla kobiet, złota i innych takich rzeczy. Kirien jest skończone, to ruina, puste mury. Synowie Leynena nie żyją, a ich bogactwa znikły. Idź swoją drogą, dziewczyno.

Szary i spuchnięty jak pajak gnieźdzący się w ruinach poszedł niepewnym krokiem do piwnic, by ukryć się przed jasnością dnia.

Prowadząc pasiastego wiatrogonę z Hallan, Semley opuściła swój dawny dom i zjechała ze stromego wzgórza, przez wieś średnich ludzi, którzy pozdrawiali ją z posępnym szacunkiem, pośród pól i pastwisk, gdzie pasły się ogromne, półdzikie herilory z podciętymi skrzydłami, aż do doliny zielonej jak malowana miska i wypełnionej po brzegi słonecznym blaskiem. W głębi doliny leżała wioska Fiia i kiedy Semley zsiadła z wierzchowca, mali ludzie wybiegli do niej z chat i ogrodów. Ze śmiechem wołali cichymi, wysokimi głosami:

– Witaj, żono Halla, pani Kirien, ujeżdżająca wiatr piękna Semley!

Nazywali ją miłymi słowami i słuchała ich z przyjemnością, nie zwracając uwagi na ich śmiech, bo śmiali się ze wszystkiego, co mówili. Ona też tak robiła, mówiła i śmiała się. Stała wysoka, w długim błękitnym płaszczu.

– Witajcie, słoneczni Fiia, przyjaciele ludzi!

Zaprowadzili ją do wsi i zaprosili do jednego ze swoich przewiewnych domów, a wszędzie towarzyszyła im gromadka dzieci. Wieku dorosłego Fiana nie sposób określić, trudno ich w ogóle rozróżnić, a że krążyli nieustannie niczym ćmy wokół świecy, nie wiadomo było, czy mówi się do tego samego osobnika. Wydawało się jednak, że jeden z nich rozmawiał z Semley, podczas gdy inni karmili i głaskali jej wierzchowca oraz przynosili jej wodę do picia i naczynia z owocami z ich karłowatych sadów.

– To nie Fiia ukradli naszyjnik panów Kirien! – krzyknął mały człowiek. – Co Fiia robiliby ze złotem, pani? My mamy słońce w ciepłej porze, a w zimnej porze wspomnienie słońca, mamy złote owoce, złote liście przy zmianie pór, złote włosy naszej pani z Kirien; nie trzeba nam innego złota.

– Więc to jakiś średni człowiek ukradł klejnot?

Odpowiedzią był długi, zwiewny śmiech.

– Jaki średni człowiek miałby odwagę? O, pani na Kirien, jak skradziono wielki klejnot, nie wie żaden śmiertelnik, ani człowiek, ani średni człowiek, ani Fian, ani nikt spośród siedmiu ludów. Tylko zmarli wiedzą, jak przepadł dawno temu, kiedy Kireley Dumny, twój pradziad, wędrował samotnie do jaskiń nad morzem. Ale może znajdzie się u Wrogów Słońca.

- U Gliniaków?

Nieco głośniejszy, nerwowy wybuch śmiechu.

- Usiądź wśród nas, Semley słonecznowłosa, która wróciłaś z północy.

Usiadła z nimi do posiłku i cieszyła się ich wdziękiem równie jak oni jej obecnością. Kiedy jednak usłyszeli, jak powtarza, że pójdzie do Gliniaków, żeby odzyskać swój posag, ich śmiech ucichł i stopniowo robiło się wokół niej coraz puściej. Wkrótce została sama na samą z jednym, zapewne tym, z którym rozmawiała przed posiłkiem.

- Nie chodź do Gliniaków, Semley - powiedział i na chwilę odwaga ją opuściła.

Fian przesunął powoli dłońmi po oczach i powietrze wokół nagle pociemniało. Owoce na talerzu nabrały barwy popielatej, woda znikła ze wszystkich naczyń.

- W dalekich górach dawno temu Fiia i Gdemiarowie rozdzielili się - mówił cicho Fian. - Przedtem byliśmy jednym ludem. Oni są tym, czym my nie jesteśmy. My jesteśmy tym, czym oni nie są. Pomyśl o słońcu, trawie i drzewach rodzących owoce. Pomyśl, że nie wszystkie drogi, które prowadzą w dół, prowadzą również w górę.

- Moja nie prowadzi ani w dół, ani w górę, mój miły gospodarzu, ale prosto do mojego posagu. Pójdę tam, gdzie on jest, i wrócę z nim.

Fian skłonił się ze śmiechem.

Za wioską Semley dosiadła swego wiatrogoną i odpowiedziałwszy okrzykiem na pożegnania, wzniosła się na przedwieczornym wietrze i odleciała na południowy zachód w stronę jaskiń na skalistych brzegach morza Kirien.

Obawiała się, że będzie musiała wędrować daleko w głąb jaskiń, żeby znaleźć Gliniaków, gdyż mówiono, że nigdy nie wychodzą ze swoich podziemi na światło dzienne, że boją się Wielkiej Gwiazdy i księżyców. Była to daleka droga i wylądowała raz, żeby jej wierzchowiec zapolował na szczury drzewne. Zjadła trochę chleba ze swojej torby. Chleb był już twardy i suchy, przeszedł zapachem skóry, ale zachował coś ze swego smaku. Jedząc go samotnie w cieniu południowego lasu, wspomniała Durhala, jego twarz zwróconą ku niej w blasku świec Hallan. Co mu powie, kiedy wróci do domu z ceną królestwa na szyi? „Chciałam mieć dar godny mego męża, o panie”? Wkrótce ruszyła dalej, ale kiedy dotarła do wybrzeża, słońce już zaszło i Wielka Gwiazda szła w jego ślady. Złośliwy wiatr przybiegł z zachodu, gwałtowny i niestały, i walczący z nim wiatrogon opadł z siłą. Pozwoliła mu wylądować na piasku. Natychmiast złożył skrzydła i podwinął pod siebie grube, lekkie łapy z pomrukiem zadowolenia. Semley stała, otulając się ciasno płaszczem i głaszcząc szyję wierzchowca, który położył uszy i nie przestawał mruczeć. Jego ciepłe futro było przyjemne w dotyku, ale wokół jak okiem sięgnąć było tylko szare niebo ze strzepami chmur, szare morze, ciemny piasek. Nagle po piasku przebiegło jakieś niskie, ciemne stworzenie, potem drugie, cała grupka, przysiadając, biegnąc, przystając...

Przywołała ich okrzykiem. Chociaż poprzednio jakby jej nie dostrzegli, teraz w jednej chwili znaleźli się wokół niej. Trzymali się na dystans od wiatrogoną, który przestał mruczeć, a sierść zjeżyła mu się lekko pod dłonią Semley. Chwyciła go za uzdę, ciesząc się z obrony, lecz i bojąc się wybuchu wściekłości zdenerwowanego zwierzęcia. Dziwni ludzie stali w milczeniu, ich masywne białe stopy jakby wrosły w piasek. Nie było wątpliwości: byli wzrostu Fiia i we wszystkim innym stanowili ich cień, czarny obraz tamtych roześmianych istot. Nadzy, przysadziści, niezgrabni, mieli proste włosy i szarawą skórę, wilgotną jak skóra robaków; oczy jak kamienie.

- Jesteście Gliniakami?

- Jesteśmy Gdemiarami, ludźmi panów Królestwa Nocy. - Nieoczekiwanie donośny i niski głos zabrzmiał pompatycznie wśród słonego wiatru i mroku, ale podobnie jak z Fiia, Semley nie potrafiła określić, który się odezwał.

- Pozdrawiam was, panowie nocy. Jestem Semley z Kirien, żona Durhala z Hallan. Przybyłam do was w poszukiwaniu mojego posagu, naszyjnika zwanego Okiem Morza, który zaginął dawno temu.

- Dlaczego szukasz go tutaj, o pani? Tutaj jest tylko piasek, sól i noc.

- Szukam go tutaj, bo głęboko ukryci dużo wiedzą o rzeczach zaginionych - odparła Semley, nie lękając się pojedynku na słowa. - A złoto, które pochodzi z ziemi, ciągnie do ziemi z powrotem. Czasem, powiadają, rzecz wraca do tego, kto ją zrobił.

Z tym ostatnim strzeliła na chybił trafił i trafiła w dziesiątkę.

- Znamy naszyjnik Oko Morza z imienia. Był zrobiony w naszych jaskiniach dawno temu i sprzedany Angyarem. Błękitny kamień pochodził z kopalni naszych krewniaków ze wschodu. Ale to są bardzo dawne opowieści, o pani.

- Czy mogę ich posłuchać tam, gdzie są opowiadane?

Przysadziści ludzie milczeli przez chwilę, jakby się zastanawiali. Szary wiatr dął nad piaskiem, ściemniło się jeszcze, ponieważ zaszła Wielka Gwiazda. Szum morza to cichł, to narastał. Wreszcie głęboki głos znów się odezwał:

- Tak, pani, możesz wejść do Głębokich Komnat. Chodź z nami teraz.

Głos był zmieniony, jakby udobruchany, ale Semley nie zwróciła na to uwagi. Poszła za Gliniakami po piasku, trzymając swego wierzchowca krótko za uzdę.

U wejścia do jaskini, bezzębnej, ziejącej paszczy dyszącej ciepłem i stęchlizną, jeden z Gliniaków powiedział:

- Latające zwierzę nie wejdzie.

- Wejdzie - powiedziała Semley.

- Nie - zaprotestowały Gliniaki.

- Tak. Nie zostawię go tutaj. Nie mam prawa go zostawić. Nie zrobi wam krzywdy, dopóki go trzymam za uzdę.

- Nie - powtórzyły niskie głosy, ale inne wtrąciły:

- Jak chcesz.

Po chwili wahania ruszyli dalej. Ogarnęły ich takie ciemności, jakby paszcza jaskini zatrzasnęła się za nimi. Szli gęsiego.

Wkrótce mrok się rozjaśnił - zbliżyli się do wiszącej pod stropem kuli słabego białego ognia. Dalej była następna i jeszcze następna, między nimi ciągnęły się po ścianach długie czarne robaki. Im dalej szli, tym więcej było kul ognistych, aż wreszcie cały tunel wypełniło jasne, zimne światło.

Przewodnicy Semley zatrzymali się u zbiegu trzech korytarzy zamkniętych żelaznymi wrotami.

- Tu zaczekamy, pani - powiedzieli i ośmiu pozostało z nią, a trzech otworzyło środkowe wielkie drzwi i weszło do środka. Wrota zatrzasnęły się za nimi z hukiem.

Córa Angyarów stała nieruchoma, wyprostowana pod ostrym, białym światłem lamp. Wiatrogon przysiadł obok, bijąc końcem pasiastego ogona, a jego wielkie zwinięte skrzydła drgały raz po raz, zdradzając hamowaną chęć ucieczki. Za plecami Semley ośmiu Gliniaków przysiadło na piętach, mamrocząc w swoim języku.

Środkowe wrota otworzyły się ze zgrzytem.

- Wprowadźcie Angyarkę do Królestwa Nocy! - zawołał dudniącym i napuszczonym głosem stojący we wrotach Gliniak. Miał coś w rodzaju odzieży na krępym, szarym ciele. - Wejdz i podziwiał cuda naszej krainy, dzieła rąk panów nocy!

Semley bez słowa szarpnęła uzdę swego wierzchowca i poszła, schylając głowę w drzwiach zrobionych dla karłowatego ludu. Otworzył się przed nią nowy rozjarzony korytarz z wilgotnymi ścianami skąpanymi w białym świetle, tylko tym razem na podłodze zamiast chodnika leżały dwie lśniąco żelazne belki ciągnące się równoległą linią jak okiem sięgnąć. Na belkach stał jakiś wózek na metalowych kołach. Posłuszna gestom swego nowego przewodnika Semley bez wahania i bez cienia zdziwienia na twarzy weszła do wózka i skłoniła wiatrogon, żeby przysiadł obok niej. Gliniak usiadł z przodu, gdzie manipulował jakimiś dźwigniami i kółkami. Rozległ się głośny hałas, metal zazgrzytał o metal i ściany korytarza zaczęły uciekać do tyłu. Umykały tak coraz szybciej, aż wreszcie ogniste kule nad głową zlały się w jedno pasmo, a ciepłe, stęchłe powietrze zmieniło się w cuchnący wiatr, który odrzucił jej kaptur z głowy.

Wózek się zatrzymał. Semley weszła za przewodnikiem po bazaltowych schodach do rozległego przedpokoju, a stamtąd do jeszcze większej sali wyżłobionej przed wiekami przez wodę, a może wykutej w skale przez Gliniaków. Mrok, którego nigdy nie naruszyło światło dzienne, rozjaśniał niesamowity, zimny blask ognistych kul. W otworach wyciętych w ścianach obracały się wielkie śmigła, wyciągając stęchłe powietrze. Rozległa zamknięta przestrzeń huczała i wibrowała hałasem - donośnymi głosami Gliniaków, zgrzytem, piskiem i szumem pracujących wentylatorów i kół, wielokrotnym echem tych dźwięków odbitym od skał. Tutaj wszyscy przysadziści Gliniaci mieli na sobie stroje naśladujące Władców Gwiazd; spodnie, miękkie buty i bluzy z kapturami. Tylko nieliczne kobiety, pospiesznie przemykające się karlice, były nagie. Wśród mężczyzn przeważali żołnierze noszący przy boku broń wyglądającą jak straszne miotacze światła Władców Gwiazd, ale Semley zauważyła, że są to zwykłe żelazne pałki. Wszystko to widziała, nie patrząc. Szła, dokąd ją prowadzono, nie zwracając głowy w lewo ani w prawo. Kiedy doszła do grupki Gliniaków noszących na czarnych włosach żelazne obręcze, jej przewodnik stanął, skłonił się i zahuczał:

- Panowie Gdemiaru!

Było ich siedmiu i wszyscy spojrzeli na nią z taką butą na swoich z gruba ciosanych szarych twarzach, że miała ochotę roześmiać im się w nos.

- O władcy królestwa mroku, przybywam do was w poszukiwaniu zaginionego skarbu moich przodków - powiedziała poważnie. - Szukam Oka Morza, które zdobył Leynen. - Jej głos zabrzmiał słabo w hałasie wielkiej krypty.

- Tak nam donieśli posłańcy, o pani Semley. - Tym razem zauważyła, kto mówi; Gliniak z białą, srogą twarzą, niższy jeszcze od pozostałych, sięgający jej ledwie do piersi. - Nie mamy tego, czego szukasz.

- Mówią, że kiedyś Oko Morza było w waszym posiadaniu.
- Różnie mówią na górze, tam gdzie pali słońce.
- A wiatr roznosi słowa wszędzie, dokąd dociera. Nie pytam, w jaki sposób naszyjnik zginął i wrócił do was, którzy go kiedyś zrobiliście. To dawne opowieści, dawne pretensje. Chcę tylko znaleźć go teraz. Nie macie go, ale może wiecie, gdzie jest.
- Tutaj go nie ma.
- Zatem jest gdzie indziej.
- Jest tam, dokąd nigdy nie dotrzesz. Chyba że my ci pomożemy.
- Więc pomóżcie mi. Proszę o to jako wasz gość.
- Powiedziane jest: Angyarowie biorą, Fiia dają, Gdemiarowie dają i biorą. Jeżeli zrobimy to dla ciebie, co za to dostaniemy?
- Moje podziękowanie, panie nocy.

Stała wśród nich wysoka i jasna, uśmiechnięta. Wpatrywali się w nią wszyscy z zazdrością i podziwem, z ponurą tęsknotą.

- Posłuchaj, Angyarko, prosisz nas o wielką przysługę. Sama nie wiesz, jak wielką. Nie potrafisz tego zrozumieć. Należysz do rasy, która nie chce rozumieć, która umie tylko ujeżdżać wiatrogony, uprawiać zboże, machać mieczem i chóralnie krzyczeć. A kto robi wasze miecze z jasnej stali? My, Gdemiarowie! Wasi panowie przychodzą do nas, kupują miecze i odchodzą, nie oglądając się za siebie, nie rozumiejąc. Ale ty jesteś tutaj, ty będziesz patrzeć, możesz zobaczyć kilka z naszych niezliczonych cudów, światła, które palą się wiecznie, wóz, który sam jedzie, maszyny, które robią nam ubrania, gotują nam pożywienie, odświeżają nam powietrze i służą nam we wszystkim. Wiedz, że wszystko to jest dla ciebie nie do pojęcia. I wiedz, że my, Gdemiarowie, żyjemy w przyjaźni z tymi, których wy nazywacie Władcami Gwiazd! Byliśmy z nimi w Hallan, w Reohan, w Hul-Orren, we wszystkich waszych zamkach, żeby pomóc im w rozmowach z wami. Książęta, którym wy, dumni Angyarowie, płacicie daninę, są naszymi przyjaciółmi. Świadczymy sobie nawzajem przysługi! Czym jest dla nas twoje podziękowanie?

- Na to pytanie wy musicie odpowiedzieć, nie ja - odparła Semley. - Ja zadałam pytanie. Odpowiedz mi, panie.

Siedmiu Gliniaków naradzało się przez chwilę słowami i w milczeniu. Spoglądali na nią, odwracali się, mamrotali coś i milkli. Powoli, w milczeniu zbierał się wokół nich tłum, aż wreszcie Semley stała otoczona setkami czarnych kudłatych głów i cała wielka hucząca grota z wyjątkiem wąskiego kręgu wokół niej była zapełniona Gliniakami. Wiatrogon drżał ze strachu i zbyt długo powstrzymywanego gniewu, a jego oczy zrobiły się wielkie i jasne jak oczy zwierzęcia zmuszonego do lotu w nocy. Semley pogłaskała ciepłe futerko na jego głowie, szepcząc:

- Spokojnie, mój dzielny, mądry pogromco wiatru...
- Pani, zabierzemy cię tam, gdzie jest skarb - zwrócił się do niej Gliniak z białą twarzą i żelazną koroną na skroniach. - Więcej nie możemy nic dla ciebie zrobić. Udaj się tam z nami i zażądaj klejnotu od tych, którzy go przechowują. Latające zwierzę musi tu zostać, pojedziesz sama.

- Jak daleka będzie podróż, panie?

Jego wargi rozciągnęły się w uśmiechu.

- To bardzo daleka podróż, o pani. Ale potrwa tylko jedną długą noc.

- Dziękuję wam za grzeczność. Czy zaopiekujecie się moim wierzchowcem przez tę noc? Nie chcę, żeby mu się zdarzyło coś złego.

- Będzie spał do twojego powrotu. Kiedy znowu zobaczysz to zwierzę, będziesz miała za sobą jazdę na potężniejszym wiatrogonie! Nie spytasz, dokąd cię zabieramy?

- Czy prędko wyruszymy? Nie chcę być zbyt długo z dala od domu.

- Wyruszamy wkrótce. - I znów rozciągnął w uśmiechu szare wargi.

Tego, co się działo przez kilka następnych godzin, Semley nie potrafiłaby opowiedzieć: pośpiech, hałas, niezrozumiała krzątanina. Trzymała głowę swego wiatrogonu, gdy jeden z Gliniaków wbił w jego pasiasty zad długą igłę. Omal nie krzyknęła na ten widok, ale jej wierzchowiec tylko drgnął i zasnął. Zabrała go grupa Gliniaków, którzy wyraźnie musieli zmobilizować całą swoją odwagę, żeby dotknąć jego ciepłego futra. Później musiała znieść widok igły wbijanej we własne ramię - pomyślała, że może po to, by jej odwagę wystawić na próbę, gdyż zdawało jej się, że nie zasnęła; pewności nie miała. Były chwile, że musiała jechać wózkami na szynach, mijając setki żelaznych wrót i sklepionych pieczar; raz wózek przejechał przez jaskinię, która ciągnęła się po obu stronach toru bez końca i cały jej mrok wypełniały ogromne stada herilorów. Słyszała ich ochryple nawoływania i widziała, jak migały w blasku lamp na przedzie wozu; potem zobaczyła je wyraźniej w białym świetle i zauważyła, że wszystkie są bezskrzydłe i ślepe. Na ten widok zamknęła oczy. Ale dalej były znów tunele i wciąż nowe grotory oraz szare, niekształtne ciała, srogie twarze i huczące chełpliwie głosy, aż wreszcie wyprowadzono ją nagle na otwartą przestrzeń. Była noc; z radością uniosła oczy ku gwiazdom i księżycowi, małemu Heliki jaśniejącemu na zachodzie. Nadal jednak otaczali ją Gliniaci, którzy kazali jej wejść po schodkach do innego wozu czy jaskini - nie umiała określić, co to jest. Wnętrze było nieduże, pełne małych, mrugających jak świeczki światełek, bardzo wąskie i lśniąco po wielkich, wilgotnych grotach i gwiazdzistej nocy. Znów ukłuto ją igłą i powiedziano, że musi zostać przywiązana do czegoś w rodzaju płaskiego fotela.

- Nie dam się związać - powiedziała Semley.

Kiedy jednak zobaczyła, że czterej Gliniaci, którzy mieli być jej przewodnikami, pozwalają się przywiązać, zgodziła się i ona. Wszyscy inni wyszli. Rozległ się ryk, potem zapanowała cisza i przygłuszył ją wielki, niewidoczny ciężar. A potem nie było ciężaru, nie było dźwięków, nic.

- Czy ja umarłam? - spytała Semley.

- O nie, pani - odpowiedział głos, który się jej nie spodobał.

Otworzyła oczy i ujrzała schyloną nad sobą białą twarz, grube wargi rozciągnięte w uśmiechu, oczy jak kamyki. Wieży z niej opadły; zerwała się z miejsca. Czuła się nieważka, bezcielesna, czuła się jak obłoczek strachu na wietrze.

- Nie zrobimy ci krzywdy - odezwał się ponury głos czy też głosy - ale pozwól nam się dotknąć. Chcielibyśmy dotknąć twoich włosów. Pozwól nam, pani, dotknąć swych włosów...

Okrągły wóz, w którym się znajdowali, zadrżał lekko. Za jego jedynym oknem panowała czarna noc, a

może była to mgła albo w ogóle nic? Jedna długa noc, powiedzieli. Bardzo długa. Semley siedziała bez ruchu, znosząc dotyk ciężkich szarych dłoni na włosach. Później dotykali jej dłoni, stóp i ramion, a raz dotknęli jej szyi – wówczas zacisnęła zęby i wstała. Gliniacy odstąpili.

- Nie zrobimy ci krzywdy, pani – powiedzieli.

Potrząsnęła głową.

Kiedy dali jej znak, położyła się z powrotem w fotelu, a kiedy za oknem błysnęło złociste światło, zapłakałaby, gdyby nie to, że wcześniej zemdląca.

- Dobrze – powiedział Rocannon. – Przynajmniej wiemy, kim ona jest.

- Dużo bym dał, by się dowiedzieć, kim jest naprawdę – mruknął kustosz. – Ona chce dostać coś, co mamy w muzeum, jeżeli dobrze zrozumiałem tych troglodytów.

- Nie nazywaj ich troglodytami – rzekł Rocannon. Jako etnograf kosmiczny miał obowiązek przeciwstawiać się podobnym określeniom. – Nie są piękni, ale to nasi sojusznicy klasy C... Ciekawe, czemu komisja wytypowała do rozwoju właśnie ich? I to jeszcze przed nawiązaniem kontaktu ze wszystkimi istotami rozsądnymi. Założę się, że komisja była z Centaura; oni zawsze popierają istoty prowadzące nocny tryb życia i jaskiniowców. Ja bym raczej postawił na gatunek drugi.

- Wygląda na to, że ci troglodyci są nią zachwyceni.

- A ty nie?

Ketho rzucił spojrzenie na wysoką kobietę, zaczerwienił się i wybuchnął śmiechem.

- W pewien sposób, niewątpliwie. Przez osiemnaście lat tutaj, na Nowej Południowej Georgii, nie widziałem tak pięknej rasy. Prawdę mówiąc, nigdy w życiu nie widziałem tak pięknej kobiety. Wygląda jak boginka.

Rumieniec doszedł do czubka jego łysej głowy, gdyż Ketho był nieśmiałym kustoszem i rzadko sięgał do hiperboli. Ale Rocannon skinął głową z powagą.

- Szkoda, że nie możemy z nią porozmawiać bez tych trog... Gdemiarów jako tłumaczy. Ale nic na to nie poradzimy. – Podeszedł do gościa, a kiedy Semley zwróciła ku niemu swoją wspaniałą twarz, skłonił się bardzo nisko, przyklękając na jedno kolano z opuszczoną głową i przymkniętymi oczami. Nazywał to interkulturalnym dygiem na każdą okazję i wykonywał go nie bez pewnego wdzięku. Kiedy wstał, piękna kobieta uśmiechnęła się i przemówiła.

- Ona mówić powitanie, Władco Gwiazd – zadudnił jeden z jej przysadzistych przewodników w uproszczonym języku galaktycznym.

- Witaj, pani – odpowiedział Rocannon. – Co nasze muzeum może dla ciebie zrobić?

Jej głos wzniósł się ponad dudnienie troglodytów jak powiew srebrzystego wiatru.

- Ona mówić, bardzo prosić dać z powrotem naszyjnik, własność ojców jej ojców, dawno, dawno.

- Który naszyjnik? – spytał Rocannon, a ona zrozumiała i wskazała eksponat w centrum gabloty, przed którą stali. Była to wspaniała sztuka, łańcuch z złotego złota, masywny, ale bardzo misternej roboty, ozdobiony wielkim jaskrawobłękitnym szafirem. Rocannon uniósł brwi, a Ketho za jego plecami szepnął:

- Ma dobry gust. To jest naszyjnik z Fomalhaut Dwa, słynne dzieło sztuki.

Semley uśmiechnęła się do dwóch ludzi i znów przemówiła do nich ponad głowami troglodytów.

- Ona mówić, o Władcy Gwiazd, starszy i młodszy opiekunowie Domu Skarbów, ten skarb jej własność. Długi, długi czas. Dziękuję.

- Jak ten eksponat do nas trafił, Ketho?

- Poczekaj, sprawdzę w katalogu. Mam go tutaj. Dostaliśmy od tych troglo... trollów czy jak im tam. Tu jest napisane, że mają obsesję handlową; musieliśmy pozwolić im „kupić” ten statek, AD-4, na którym teraz przybyli. Klejnot był częścią zapłaty. To ich własna robota.

- Założę się, że nie potrafią już robić takich pięknych rzeczy, odkąd skierowano ich na drogę przemysłową.

- Wygląda, że uważają tę rzecz za jej własność, a nie swoją lub naszą. To musi być ważne, skoro poświęcili tyle czasu, żeby zająć się jej sprawą. Przecież obiektywna różnica między nami a Fomalhaut musi być niemała!

- Niewątpliwie wynosi kilka lat - powiedział etnograf, któremu nieobce były poślizgi czasowe. - Nie tak wiele. Niestety, ani podręcznik, ani przewodnik nie podają cyfr pozwalających na dokładniejszą ocenę tej różnicy. Te gatunki ludzi nie były w ogóle porządnie zbadane. Może ci mali faceci wyświadczać jej zwykłą grzeczność, a może od tego cholernego klejnotu zależy wybuch wojny między gatunkami. Może spełniają jej zachcianki, bo uznają jej wyższość. Albo mimo pozorów ona jest ich więźniem i używają jej na wabia. Co my o nich wiemy?... Czy możesz oddać ten naszyjnik, Ketho?

- Tak. Wszystkie exotica są teoretycznie wypożyczone, gdyż czasem wypływają podobne roszczenia. Zwykle ustępujemy. Pokój ponad wszystko, dopóki nie wybuchnie wojna...

- Proponuję więc, żeby jej to oddać.

- Z przyjemnością - uśmiechnął się Ketho. Otworzywszy gablotę, wyjął złoty łańcuch i w swojej nieśmiałości podał go Rocannonowi, mówiąc: - Ty jej to daj.

I tak błękitny klejnot znalazł się przez chwilę w dłoni Rocannona, który z dłonią pełną błękitnego ognia i złota odwrócił się do pięknej nieziemskiej kobiety. Semley nie wyciągnęła do niego rąk, tylko pochyliła głowę i Rocannon założył jej naszyjnik. Błękitny ogień zabłysnął na jej złotobrązowej szyi. Semley posłała znad niego spojrzenie tak przepełnione dumą, radością i wdzięcznością, że Rocannon stał bez słowa, kustosz zaś szeptał pospiesznie w swoim języku:

- Bardzo proszę, bardzo proszę.

Semley skłoniła złotą głowę przed nim i Rocannonem, potem odwróciła się, skinęła swoim przysadzistym przewodnikom - a może strażnikom? - i otuliwszy się znośnym błękitnym płaszczem, odeszła, niknąc w perspektywie długiego korytarza. Ketho i Rocannon odprowadzali ją wzrokiem.

- Mam wrażenie... - zaczął Rocannon.

- Jakie? - spytał zdławionym głosem Ketho po dłuższej chwili.

- Mam czasami wrażenie... wiesz, przy spotkaniach z mieszkańcami światów, o których wiemy tak niewiele... wrażenie, że natknąłem się na strzęp legendy albo tragicznego mitu, którego nie rozumiem...

- Tak - odezwał się kustosz i odchrząknął. - Ciekawe... ciekawe, jak ona ma na imię.

Piękna Semley, Semley złotowłosa, Semley z naszyjnikiem. Narzuciła swoją wolę Gliniakom, a nawet Władcom Gwiazd w tym okropnym miejscu, do którego zabrali ją Gliniaci, w tym mieście na krańcu nocy. Nawet oni ustąpili i ze swego skarbcza chętnie oddali jej klejnot rodzinny. Ale wciąż jeszcze nie mogła się otrząsnąć z nastroju tych jaskiń, gdzie skały nawisały nad głową, gdzie nie wiedziało się, kto mówi ani co się dzieje wokół, gdzie dudniły głosy i wyciągały się szare ręce... Dość tego. Zapłaciła za swój naszyjnik, bardzo dobrze. Teraz jest jej. Cena została zapłacona, co przeszło, minęło.

Jej wiatrogon wyczołgał się z jakiejś zagrody z mętnym okiem, z futrem pokrytym szronem i początkowo, kiedy już wyszli z gdemiańskich jaskiń, nie chciał wzlecieć. Teraz jakby doszedł do siebie i płynął przez jasne niebo na łagodnym południowym wietrze ku Hallan.

- Szybciej, szybciej! - przynaglała go Semley. Śmiała się, gdy wiatr oczyścił jej umysł z ciemności. - Chcę jak najszybciej zobaczyć Durhala...

Przybyli do Hallan o zmierzchu drugiego dnia. Jaskinie Gliniaków wydawały jej się zeszłorocznym złym snem, kiedy jej wiatrogon pokonywał tysiąc stopni Hallanu i Most Otchłani, gdzie las zapadał się nagle na setki metrów. W złotym świetle wieczoru zsiadła ze swego wierzchowca na dziedzińcu i resztę schodów przeszła między sztywnymi, rzeźbionymi postaciami bohaterów i dwoma strażnikami, którzy skłonili się przed nią, nie mogąc oderwać wzroku od pięknego ognistego klejnotu na jej piersi.

W sieni zatrzymała przechodzącą dziewczynę, bardzo piękną dziewczynę, z wyglądu jedną z krewniaczek Durhala, chociaż Semley nie mogła sobie przypomnieć jej imienia.

- Poznajesz mnie, panienko? Jestem Semley, żona Durhala. Czy nie zechciałabyś pójść do pani Durossy i powiedzieć jej, że wróciłam?

Dziewczyna spojrzała na nią z dziwnym wyrazem twarzy.

- Tak, pani - wyjąkała i pobiegła do wieży.

Semley czekała w poślacanej zrujnowanej sali. Ani żywego ducha. Czyżby wszyscy byli w Wielkiej Sali przy stole? Panowała niepokojąca cisza. Po chwili Semley ruszyła w kierunku wieży. Nagle ujrzała spieszącą po kamiennej posadzce siwowłosą zapłakaną kobietę, która wyciągając ramiona, wołała jej imię. Cofnęła się, gdyż nigdy nie widziała tej staruszki.

- Kim jesteś, pani?

- Jestem Durossa.

Semley stała w milczeniu, bez ruchu, podczas gdy Durossa obejmowała ją z płaczem i pytała, czy to prawda, że Gliniaci schwytali ją i trzymali przez tyle długich lat pod zaklęciem, czy też może były to sztuczki Fiia? Potem, odsunawszy się na krok, Durossa przestała łkać.

- Jesteś nadal młoda, Semley. Jak w dniu, kiedy odjechałaś. I masz naszyjnik...

- Przywiozłam posag mojemu mężowi Durhalowi. Gdzie on jest?

- Durhał nie żyje.

Semley zamarła w bezruchu.

- Twój mąż, a mój brat Durhał, pan na Hallan, zginął w bitwie siedem lat temu. Władcy Gwiazd nie przyjeżdżają już więcej. Wdaliśmy się w wojnę ze Wschodnimi Zamkami, z Angyarami z Log i Hul-Orren. Durhał zginął w walce przeszyty włócznią średniaka, gdyż miał marną zbroję dla ciała i żadnej dla ducha. Leży pochowany na polach blisko orreńskich bagien.

Semley odwróciła się do wyjścia.

- Pójdę zatem do niego - powiedziała, dotykając ręką łańcucha ciężącego jej na szyi. - Zaniosę mu mój dar.

- Zaczekaj, Semley! To córka Durhała, twoja córka, Piękna Haldre!

Była to dziewczyna, którą zatrzymała i posłała po Durossę, lat około dwudziestu, z oczami ciemnoniebieskimi jak oczy Durhała. Stała obok Durossy, wpatrując się w kobietę, która była jej matką i rówieśniczką. Były w tym samym wieku, miały takie same złote włosy i były równie piękne, tylko Semley była nieco wyższa i miała błękitny klejnot na piersi.

- Weź to, weź to. Przywiozłam to z krańca długiej nocy dla Durhała i dla ciebie! - krzyknęła Semley, schylając głowę, żeby zdjąć ciężki łańcuch. Upuściła go na kamienie. - Weź go, Haldre! - krzyknęła jeszcze raz i z głośnym płaczem wybiegła z zamku Hallan. Przebyła most, potem długie, szerokie schody i jak uciekające dzikie stworzenie rzuciła się ku lasom porastającym zbocza gór. I znikła.